

METRONOM

Minał miesiąc od próby generalnej, zaraz po niej, 29 lutego, odbyła się oficjalna premiera przedstawienia (śpiewogry? raczej musicalette), które do dziś zbiera diametralnie różne recenzje - od zjadliwie krytycznych do wyrozumiałe pozytywnych, przez pierwsze dwa tygodnie marca ścigając publiczność na najwyższe piętro warszawskiego teatru "Studio". Publiczność na ogół bardzo młodą, spragnioną muzyki, wcale jednak nie rocka, lecz klasyki, melodii uznanych za fundamentalne dla współczesnego musicalu, tworzących zarazem podwaliny swingu.

"Amerykanin w Warszawie", publiczność w malinach

JAK WYSTAWIĆ GERSHWINA (do wiatru)

Mowa o przedstawieniu "AMERYKANIN W WARSZAWIE" - jednej z wielu prób zobaczenia czy raczej usłyszenia wspaniałego kompozytora na nowo. Ta próba okazała się nieudana. Ten Gershwin jest w gruncie rzeczy totalną kompromitacją przereklamowanego teatru dyrektora Jerzego Grzegorzewskiego. Tak było na próbie generalnej, nie lepiej - na zwyczajnym przedstawieniu tydzień później. Poza dwójką, no, trójką aktorów, poza scenografią (o czym dalej), wybronił się najpóźniej: kompozytor George Gershwin i autor polskich tekstów jego piosenek, Jerzy Siemasz.

Wypadek artystyczny pod nazwą "Amerykanin w Warszawie" wart jest opisanie publiczności całej Polski, by przestrzec ją przed wirusami, jakie ostatnio zaatakowały polski teatr - przed zadufaniem, pychą, narcyzmem, no i najgroźniejszym z nich: wyższością miernoty nad talentem. Zarzuty pod adresem teatru "Studio" można mnożyć, zaczniemy wszakże od początku.

● **POMYSŁ I JEGO REALIZACJA.** Pomysł zabrania kilkunastu (dokładnie 18) przebojów George'a Gershwina i połączenia ich w sceniczną całość narodził się półtora roku temu w głowie Michaela Hacketta, wykładowcy londyńskiej Akademii Muzycznej i Teatralnej. Zaproszony do Polski przez swego znajomego, Jerzego Grzegorzewskiego, jesienią 1991 przyjechał do Warszawy, gdzie poznał Jerzego Siemasza, autora nowego tłumaczenia *The Man I Love*. 60 lat temu tę piękną balladę nasi dziadkowie śpiewali z teks-

tem Mariana Memara (*Niech ci nie będzie żal*), uznanym za klasyczny, wzorcowy, jedyne. Na Hacketcie wysublimowana poezja Hemara nie zrobiła najmniejszego wrażenia, z prostego zresztą powodu: nijak się miała do amerykańskiego oryginału, była swobodną trawestacją strof Iry Gershwina, wariacją na temat, śmiałą i udaną próbą transpozycji Gershwina z amerykańskiej komedii muzycznej ("Lady Be Good") do polskiego teatru rewiowego (*Qui Pro Quo*). Nic dziwnego, że reżyser Hackett widział, a raczej słyszał swoją nie napisaną jeszcze śpiewogrę w wersji dwujęzycznej (polskie recytatywy, angielskie songi) - dopóki nie poznał polskich tłumaczeń (tak jest, TŁUMACZENI!) właśnie autorstwa Siemasza. Kiedy otrzymał jego próbki trzech następnych piosenek - Hackett był zdecydowany: wystawi "Amerykanina w Warszawie" i to już w marcu następnego roku. Decyzja ta, bardziej ryzykanka niż ambitna, została podjęta 4 stycznia 1992.

● **TEKSTY JERZEGO SIEMASZA.** Polski autor stanął przed morderczym zadaniem: po pierwsze - napisać 16 piosenek w trzy tygodnie (sic!), po drugie - zmierzyć się z nie byle jaką konkurencją. Tak, tak, Gershwina przekładano u nas wielokrotnie, z rozmaitym zresztą skutkiem. Beata Malczewska opracowała *I Got Rhythm* (*Rytm*), Jonasz Kofta - *I'll Build a Stairway to Paradise* (jego *Entre*, czyli Schody do raju, to nieudana piosenka o... samym kompozytorze), Andrzej Jarecki - powtórnie *I Got Rhythm* (*Rytmu*

Siec), *But Not For Me* (*Mnie nie*) i *S'Wonderful* (*W to mi graj!*); o ile pamiętam, poezją Iry Gershwina nie pogardził również Wojciech Młynarski. Jednak - powtarzam - wszystkie te teksty są jak najdalej od oryginałów Starszego Brata, nie oddają ich stylu, charakteru i klimatu, często nawet treści. A oryginały są nie byle jakie, wywodzą się bowiem z głośnych filmów, rewii, komedii muzycznych i musicali, opisujących Amerykę, stworzonych przez Amerykanów, śpiewanych przez Amerykanów dla Ameryki. A więc niebywale amerykańskich.

Czy doktorowi filologii amerykańskiej Jerzemu Siemaszowi udało się przekład Iry Gershwina? Moim zdaniem - nadzwyczajnie. Są bowiem w jego tekstach drobniutki w rodzaju *Wiem, ktoś mnie kocha* (piosenka *Somebody Loves Me*) miast dotychczas używanego refronu *Ktoś mnie pokochał*, w *Could You Use Me?* znalazłem te same "oczi cziornye" co w oryginale (tam: "hacha chornia!"); niemal we wszystkich piosenkach jest nadzwyczajna wierność oryginałowi, a poza tym PanaPrzybora zręczność w operowaniu rymem (zwłaszcza trudnym rymem żeńskim), akcentem, sensem, przede wszystkim żartem (*Treat Me Rough* - brawo!). Niestety, Siemasz nie znalazł równych sobie w twórcach scenariusza przedstawienia - Claire Liddy i Michaelu Hacketcie.

● **O CO TU CHODZI?** Dwukrotnie zadawałem sobie to pytanie, coraz bardziej zdziwiony, dlaczego "Amerykanin w Warszawie", a nie "Irlandczyk w burdelu" (bohater Dutch O'Malley jest szefem lokalu o dwuznacznej reputacji), nie "Gryfuś w tarapatach" (na scenie mowa o kłopotach finansowych J. Thomasa Vendergriffa IV) czy może "Koktajl we dwoje" (o to przecież chodzi parze młodych kochanków)? Może miał to być pastisz Gershwiniowski "Amerykanina w Paryżu"? W takim razie Central Park, w którym umawiają się bohaterowie śpiewogry, trzeba było przemianować na plac Defilad, zaś żydowsko-irlandzką finansjerkę przemianować na białoczerwono: na scenie pokazano art-decor, niech więc mo-

wa będzie o... Art B? Ktoś dowcipny, pomysły i zdolny na pewno dałby sobie z tym radę. Tymczasem pokazany publiczności "scenariusz" jest na łapu capu skleconym kolażem scenek, w których słowo ma wiązać treści poszczególne piosenek (lecz ich nie wiąże), gdzie dopisano do nich sytuacje, które dla kogoś jako tako obeznanego z Gershwinem i amerykańską kulturą lat trzydziestych są najzwyklejszym przypadkiem artystycznego deja vu. *Promenade* to powtórka z filmu "Zatańczmy!", *Dutch O'Malley* - postać wyjęta z obrazu "Cotton Club", na-

zwisko Boronie to przeinaczone Moronie z "Nocy w operze" Braci Marx; cała reszta zaś to mniej (raczej mniej) lub bardziej zręczny wybór cytatów z "Panów w cylindrach", "Palm Beach Story" i "The Swing Time".

Co w teatralnym "Amerykaninie" jest autorstwa Michaela Hacketta? Niestety, to co najgorsze: ruch sceniczny, ograniczający się do ustawicznych pogoni i sirzelaniny i niemal wszystkie sytuacje dramaturgiczne, które są ledwie szkicami, nie zaś wyczelowane mi w najdrobniejszych szczegółach scenami. "Amerykanin w Warszawie" pokazany przez stołeczny teatr "Studio" to po prostu pierwsza próba pokazu semestralnego, przygotowanego przez kółko teatralne w niewielkiej miejscinie. Ot - "Przedstawienie Gershwina we wsi Głucha Dolna". Powiedzmy dosadnie: GLUCHA.

● **AKTORZY CZY PIOSENKARZE?** Ponieważ pomysłów na ruch sceniczny mistrz Hackett miał niewiele, resztę powierzył nieznanym nauczycielce tańca Melissie Monteros. O jej braku umiejętności najlepiej świadczy scena finałowa, czyli *S'Wonderful*: przez kilka minut aktorzy, sunący w orszaku ślubnym, po prostu potupują sobie...

Panie dyrektorze Grzegorzewski, jeśli to jest taniec, to ja jestem maharadzą! I czy nie za dużo tego szastania publicznym groszem na honoraria, diety, hotele i podróże mało zdolnych Amerykanów, skoro podobnego knota mogli wyprodukować rodzimi fachowcy, pomimo wszystko tańsi?

Swój udział w klapie. jaką jest "Amerykanin w Warszawie", mają również aktorzy "Studio", zwłaszcza tak znani, jak Anna Chodakowska i Wojciech Malajkat. Malajkat nieustannie szarżuje, puszczając oko do publiczności - i tyle jego talentu; gościnnie dubler PIOTR SIWKIEWICZ nie tylko umie grać, ale i wybornie śpiewa (*Nice Work If You Can Get It* i *Love Is Here to Stay*). Z kolei Chodakowska, czyli Lady Dallas Harrington, nieudolnie naśladuje Halinę Frąckowiak - taką, jaką ongiś stworzył Krzysztof Bukowski, lecz brak jej głębi głosu tamtej, niezbędnego

dramatyzmu, odrobiny uczucia, gorzej - Chodakowska śpiewa nieczysto! Jej wykonanie *Somebody Loves Me* i *I Got Rhythm* to po prostu "zarznięcie" obu przebojów.

Poza Gershwinem, Siemaszem i Siwkiewiczem przedstawienie "Amerykanina" ma jeszcze trzy jasne punkty. Są to: MARTA DOBOSZ w roli Thelmy O'Malley (wraziste aktorstwo, odpowiednia doza dramatyzmu, doskonałe wykonanie *The Man I Love*), JOLANTA HANISZ jako Madame Boroni (w jej interpretacji *By Strauss* jest perełką) oraz scenograf i kostiumolog KRYSZYNA KAMLER (bezbłędnie oddała niuanse modernizmu czy raczej art-decor).

● **WNIOSEK?** Jest krótki, ale niezmiernie smutny. Vis a vis teatru "Studio" mieści się "Dramatyczny", na którego gościnnej dużej scenie Januszowie Józefowicz i Stokłosa ściągają tłumy publiczności na swoje "Metro" - profesjonalny musical grany przez amatorów. W "Studiu" jest akurat odwrotnie: zawodowcy grają po amatorsku, a nawet gorzej - patała chy zademonstrowały nam amatorszczyznę.

I po cóż te głośne manifesty skierowane przeciwko komercjalizacji polskiego teatru, po co święte oburzenie wobec ludzi próbujących zrobić na teatrze pieniądze? "Amerykańska" praktyka warszawskiego teatru "Studio" pokazała, że teorie są tylko teoriami. Papierowymi, sztucznymi, śmiesznymi.

DARIUSZ MICHAŁSKI